

Byle do września

Jednym z zagadnień, jakimi zajmuje się ekonomia, są zależności między gospodarką a polityką.

Bardzo ciekawym zagadnieniem ekonomii politycznej jest koncepcja cyklu politycznego. Koncepcja ta zakłada, że ugrupowanie sprawujące władzę nie dąży do osiągnięcia celów ekonomicznych (wzrost gospodarczy, poprawa dobrobytu społecznego), ale jego celem jest utrzymanie się przy władzy. Przy takim założeniu osiągnięcie danego poziomu gospodarczo-społecznego jest tylko środkiem, który umożliwi osiągnięcie celu politycznego. Rząd stara się, żeby odbiór społeczny jego działań gospodarczych był jak najlepszy w okresie przed wyborami, co pozwoli uzyskać reelekcję. Najważniejszym instrumentem polityki gospodarczej jest budżet państwa, więc najczęściej wydatki i dochody państwa w roku wyborczym są podporządkowane osiągnięciu sukcesu wyborczego. Budżet na rok 2001 jest niewątpliwie budżetem wyborczym. Świadczy o tym kilka faktów. Po pierwsze, każda ustawa budżetowa opiera się na podstawowych wskaźnikach makroekonomicznych (wzrost gospodarczy, inflacja, bezrobocie), na podstawie których są wyliczane dochody i wydatki państwa. W budżecie na rok 2001 założenia makroekonomiczne okazały się dalekie od rzeczywistych. Założenie w budżecie lepszej sytuacji gospodarczej (wyższy wzrost, niższe bezrobocie) niż faktyczna, miało na celu wmówienie społeczeństwu, że nasz kraj jest w dobrej kondycji. Niestety, samo zapisanie optymistycznych założeń nie spowodowało automatycznej poprawy wskaźników makroekonomicznych.

Po drugie, rząd zdawał sobie sprawę z możliwości wystąpienia problemów z wykonaniem założonych dochodów, ale nie zdecydował się na radykalne cięcia w wydatkach publicznych, gdyż to oznaczałoby narażenie się którejs z grup społecznych, a co za tym idzie - utratę głosów w nadchodzących wyborach. Po trzecie, dbając o swój prawicowy wizerunek, rządzący nie opowiedzieli się za zwiększeniem deficytu budżetowego, co byłoby oczywiste w przypadku, gdy zostają utrzymane na podobnym poziomie wydatki, a istnieje duże prawdopodobieństwo spadku dochodów. Jednak wzrost deficytu oznacza poluzowanie polityki fiskalnej, co na pewno nie spodobałoby się liberalnemu elektoratowi. W takim przypadku wybrano bardzo ciekawe, ale mało prawdopodobne rozwiązanie: utrzymano wydatki i założono bezpodstawne zwiększenie dochodów i przychodów, co umożliwiło zachowanie na niskim poziomie deficytu budżetowego.

Jak się można było spodziewać, budżet - oparty na fałszywych założeniach - nie mógł być wykonywany zgodnie z jego zapisami i już od początku roku wystąpiły problemy z realizacją ustawowych zapisów. Tak jak wielu przestrzegało, dochody budżetowe okazały się dużo niższe od zakładanych i już w kwietniu mieliśmy wykonany deficyt budżetowy na poziomie około 90 procent. Podobna sytuacja pojawia się każdego roku (na początku roku skupia się większość wydatków), ale obecna sytuacja jest na tyle poważna, że wielu ekspertów jest zdania, iż nie obejdzie się bez nowelizacji ustawy budżetowej i zwiększenia deficytu. Jednakże nowelizacja w trakcie roku ustawy budżetowej niesie za sobą bardzo poważne konsekwencje.

Po pierwsze, kraj, który nie jest w stanie wykonać budżetu, zmniejsza swą wiarygodność na świecie. Dla nas jest to bardzo istotne, gdy aspirujemy do stania się członkiem Unii Europejskiej, gdzie do dyscypliny jest przywiązywana duża waga.

Po drugie, nie możemy zapominać, że jesteśmy znaczącymi kredytobiorcami i to, po jakiej cenie dostaniemy kredyt, zależy w dużej mierze od naszej wiarygodności finansowej. Fakt nowelizacji budżetu w trakcie roku z pewnością sprawi, że zostaniemy uznani za kraj, w którym inwestowanie jest bardziej ryzykowne, więc cena kredytu musi być wyższa. Obniżenie nam wiarygodności kredytowej wpłynie nie tylko na zwiększenie kosztów obsługi długu publicznego, ale sprawi też, że polskie przedsiębiorstwa będą miały utrudniony dostęp do kapitału.

Po trzecie, nowelizacja ustawy budżetowej stwarza realne niebezpieczeństwo zwiększenia deficytu bardziej niż to jest potrzebne, co dodatkowo pogłębi nierównowagę w polskiej gospodarce. Jest bardzo prawdopodobne, szczególnie w obliczu nadchodzących wyborów, że pojawią się naciski: skoro i tak powiększamy deficyt, to może dorzucimy jeszcze trochę na tę lub inną dziedzinę.

Po czwarte, zwiększenie deficytu, czyli poluzowanie polityki fiskalnej, na pewno nie sprzyja decyzji o obniżce stóp procentowych, która tak naszemu krajowi jest potrzebna. W obliczu nowelizacji ustawy budżetowej bardziej prawdopodobne jest, że Rada Polityki Pieniężnej podniesie stopy, a na pewno ich nie obniży, co z pewnością odbije się negatywnie na i tak już bardzo słabym wzroście gospodarczym. Po piąte, podniesienie deficytu oznacza konieczność wyeliminowania dużej liczby skarbowych papierów wartościowych, które są bardzo atrakcyjne dla zagranicznego kapitału spekulacyjnego. Napływ dodatkowej fali dewiz jeszcze bardziej umocni złotego, czego eksporterzy, którzy już obecnie funkcjonują na krawędzi bankructwa, mogą nie przetrzymać.

Z wymienionych wyżej konsekwencji nowelizacji budżetu rząd z pewnością zdaje sobie sprawę. W takiej sytuacji zastosowana zostanie taktyka na przeczekanie do września, a więc do wyborów, po których mało prawdopodobne jest, żeby AWS utrzymał się przy władzy. Rząd zrobi więc wszystko, żeby doczekać do

września z nowelizacją. W tym celu mogą być zastosowane rozmaite operacje: przesuwanie terminów płatności, pozwolenie na zadłużanie się podmiotów publicznych, wreszcie pospieszna prywatyzacja wszystkiego, co się da szybko (a to najczęściej oznacza tanio) sprzedać, żeby tylko doraźnie zasilić budżet.

Jest całkiem prawdopodobne, że przy zastosowaniu takich zabiegów uda się dotrzeć do wyborów, a później będzie się już martwić ktoś inny, kto zastanie finanse publiczne zadłużone, bez nadziei na wpływy z prywatyzacji, gdyż prawie wszystko już zostało za pół ceny sprzedane. Krótko mówiąc, następny rząd, a zwłaszcza minister finansów, na pewno nie będzie miał łatwego początku. Za próbę zaś wmówienia nam, że jest lepiej niż w rzeczywistości, zapłacimy wszyscy.

Jacek Tomkiewicz